

SALA CHORYCH

Józef Urbaniec

ŁAZISKIE
ANEKDOTY
GÓRNICZE

ŁAZISKA GÓRNE 2008

Józef Urbaniec

**ŁAZISKIE ANEGDOTY
GÓRNICZE**

Łaziska Górne 2008 r.



Wydawca:
Towarzystwo Przyjaciół Łazisk
W Łaziskach Górnych

Autor:
Józef Urbaniec

Rysunki:
Bogdan Grzywa
Jerzy Miciak
Eugeniusz Pukała

Opracowanie:



“CHMURA”

Bożena Chmura Witold Chmura
43-170 Łaziska Górne
ul. Pocztowa 5
tel.: 032 2242 156

Konsultacje:
Józef Granieczny
Mirosław Leśniewski

Druk:
FIRMA Poligraficzna AA PRINT
43-190 MIKOŁÓW
ul. Poprzeczna 44

Rok wydania: 2008
Nakład: 600 egz. A5

Spis treści

Od wydawcy	7
Słowo wstępne	9
1. Bergrat	10
2. Hubert - olejarz	12
3. Diobół w kopalni	13
4. Prinzengrube - czyli Książątko	14
5. Kościelny	14
6. Kłachowiec	15
7. Pekin	15
8. Bandwurm - czyli tasiemiec	16
9. Pechowy mantel	17
10. Hundekolonie - czyli Psia Kolonia	18
11. Jak Konrad się oparzył	19
12. Pijano Regina	19
13. Wizyta szpitalna	20
14. Wczasy w Murzasichlu	21
15. Kontrola w Murzasichlu	23
16. Poranne golenie	23
17. Kohlenbuch	24
18. Zdun	24
19. Himek	26
20. Wizyta ministra górnictwa	26

21.	<i>Sekretarz i cybernetyka</i>	27
22.	<i>Wózki trza ładować do pełna</i>	28
23.	<i>Spowiedź wielkanocna</i>	29
24.	<i>Hanek</i>	30
25.	<i>Dialog dyrektora z Hankiem</i>	31
26.	<i>Kawalerska jazda furą</i>	31
27.	<i>Lichy kierowca</i>	32
28.	<i>Cudowne źródółko</i>	33
29.	<i>Kalfaktor</i>	34
30.	<i>Pechowy Lenin</i>	35
31.	<i>Jak trza, to trza</i>	36
32.	<i>Partyjny skarbnik</i>	36
33.	<i>Pocziwy kierownik</i>	37
34.	<i>Jak pewien sztygar zasnął na światłach drogowych</i>	38
35.	<i>Jak Alojz próbował przechytrzyć lisa</i>	38
36.	<i>Jak Marek jod fasolka po bretońsku</i>	40
37.	<i>Kasia i Marta</i>	40
38.	<i>Manicure</i>	41



Od wydawcy

Zarząd Towarzystwa Przyjaciół Łazisk oddaje w ręce mieszkańców Łazisk Górnych i sympatyków naszego Miasta kolejne wydawnictwo.

Tym razem jest to zbiór anegdot, którego autorem jest mieszkaniec naszego miasta. Autorami rysunków, są również mieszkańcy Łazisk.

Autor był długoletnim pracownikiem Kopalni „Bolesław Śmiały”. Przechodząc różne szczeble kariery, doszedł do stanowiska dyrektora ds. ekonomicznych z którego odszedł na emeryturę. W czasie Obchodów 700- lecia Łazisk był przewodniczącym Społecznego Komitetu. Od tych obchodów, Świętojańskie Dni Łazisk wciąż wzbogacane weszły na stałe do kalendarza imprez w mieście.

W imieniu zarządu i wszystkich członków naszego Towarzystwa oraz swoim własnym dziękuję autorowi tekstu i autorom rysunków za bezpłatne udostępnienie swoich prac do publikacji. Władzom Samorządowym naszego miasta dziękuję za wsparcie finansowe naszych poczynań.

Józef, Mieczysław Granieczny

Przewodniczący Zarządu

*Łaziszczanom, a zwłaszcza rodzinom górniczym i tym wszystkim,
którym bliska jest tradycja, humor i anegdota*
opracowanie to poświęca

Autor

Słowo wstępne

Górnictwo węglowe na terenie Łazisk, to nie tylko wieże szybowe, zabudowania przemysłowe i hałdy, ale to przede wszystkim ludzie z tym przemysłem związani.

Dzięki tym ludziom wykształtował się w Łaziskach pewien lokalny koloryt, zaistniały pewne zjawiska kulturalne charakterystyczne dla górniczych środowisk. Zawdzięczamy to trwającej od prawie 230 lat działalności górniczej.

Wspomniane zjawiska kulturowe znajdują między innymi swoje odbicie w piosenkach górniczych, berach, wicach i anegdotach. Tym ostatnim poświęcona jest niniejsza publikacja.

Naszych anegdot nikt nie wymyślił. Rodziły się i rodzą nadal w różnych sytuacjach. Ich bohaterami są autentyczni miejscowi ludzie, współpracownicy, znajomi, koledzy i sąsiedzi.

Opisywane zdarzenia są więc zdarzeniami prawdziwymi, choć być może niektóre z nich zostały lekko okraszone ludzką fantazją.

Anegdoty nadal są chętnie słuchane.

Na ten rodzaj humoru istnieje zapotrzebowanie i trwać ono będzie tak długo, jak długo będzie zapotrzebowanie na śmiech.

Wymienione w tym opracowaniu imiona i nazwiska oraz inicjały, zostały zmienione, by nikogo nie urazić. Ale żyją jeszcze świadkowie tych zdarzeń i oni wiedzą o kogo chodzi.

Zapewne poza środowiskiem górniczym w innych łaziskich środowiskach znane są również miejscowe anegdoty.

Apelujemy, więc o to, by je zbierać i zapisywać. Bo anegdota przekazywana ustnie jest przemijająca i ulotna.

Odchodzi w zapomnienie wraz z odejściem ludzi, którzy ją tworzyli i opowiadali.

Colligite fragmenta, ne pereant - Zbierzcie okruchy, aby nie zaginęły.

Józef Urbaniec

1. Bergrat

* * *

Za starego Niemca (czyli za Wilusia) żył w Łaziskach Górnych pewien pracownik kopalni, który bardzo lubił się wywyższać i udawać kogoś kim faktycznie nie był.

Miał trochę pomyłone w głowie.

W restauracji Muchy dosiadywał się często do stolika zajętego przez pracowników wyższego dozoru górniczego, fundował im piwo i zakąski. Po pewnym czasie domagał się od znajomych, by nie mówili do niego po imieniu, ale by zwracali się per: „Herr Bergrat” to znaczy panie radco górniczy.

I tak już potem na niego wołano.

Kiedyś, gdy znowu biesiadował w restauracji w towarzystwie panów z kopalni, przyszła jego żona, by przepędzić go do domu.

Była licho ubrana, tak po domowemu, w chustce na głowie, w długich kieckach i drewnianych pantoflach na nogach.

Już od drzwi wołała:

- „Idziesz ty łożyroku do dom!! W doma bieda a ty pieniądze przepijosz”!

Wszyscy od stołu się odwrócili w kierunku drzwi i pytali:

- „Wer ist das?” - a nasz bergrat odpowiedział: - „Das ist meine Kuhmaid” (to jest moja dziewczka od krów).

Kiedy jego żona to usłyszała, skoczyła do niego, obita po pysku, chwyciła za kołnierz i wyprowadziła na ulicę.

* * *

Kiedy indziej bergrat dał ogłoszenie do gazety o następującej treści: „W najpiękniejszej dzielnicy Łazisk mam do sprzedania ekskluzywną willę otoczoną ogrodem róż”-(eine Villa mit Rosengarten). Po kilku dniach od ukazania się prasowego ogłoszenia pod parterowy stary domek bergrata podjechało eleganckie auto, z którego wysiadło dwóch panów zainteresowanych kupnem willi.”

Bergrat nisko im się kłaniał i poprosił ich do izby. Do swojej żony zaś zawołał: - „Maryjko przynieś to najlepsze wino rocznik 1900. Butelki leżą w piątej piwnicy, regale dwunastym, na siódmej półce”.

Żona po chwili przyniosła butelkę zakorkowaną zwiniętą gazetą i bergrat napełnił kieliszki.

Panowie zaczęli się dopytywać, gdzie znajduje się ta piękna willa, bo chcieliby ją obejrzeć.

Ale bergrat zbyt ich milczeniem i zaproponował się napić.

Kiedy panowie skosztowali tej kwaśnej cieczy zalatującej drożdżami (wino własnej roboty), zorientowali się, że mają do czynienia z wariatem, trzasnęli ze złością drzwiami i wyszli.

* * *

Kiedys nasz bohater wyczytał w gazecie, że jest w pewnym kraju taki ceremoniał, iż kiedy prezydent jest w swoim pałacu, to flaga państwowa powiewa na wysokim maszcie, a gdy go nie ma jest opuszczona.

Od tego czasu, kiedy bergrat wracał do domu, wychodził na strych, brał flagę w kolorach szwarz-weiss-rot i wywieszał ją przez okienko.

Kiedy zaś wychodził z domu, zdejmował flagę i chował ją do siana.

* * *

Pewien łaziszczanin opowiadał swoim znajomym, iż jadąc kiedyś z Mokrego do Katowic pociągiem był świadkiem takiej sceny:

Oto bergrat siedział w przedziale, miał rozwiniętą przed sobą gazetę udając, że czyta.

Po chwili głośno zawołał, udając język francuski

- „Szar pitr-kur se ble” jak mnie nie ma w tyj Francycji, to wszystko się wali! Co tam z tymi moimi ludziami wyprawiają. Jak wróca, to musza tam zaroz zrobić Ordnung (porządek)”.

Bergratowi się chyba wydawało, że jest Napoleonem lub prezydentem Francji.

* * *

Zdarzyło się również kiedyś, że nasz bohater paść gęsi koło swojego domu. Był boso, w spodniach i bez koszuli.

Nadjechało auto i dwóch panów zaproponowało mu przejażdżkę samochodową.

Nasz bergrat czuł się uszczęśliwiony, bo autem jeszcze nigdy nie jechał.

Dowcipnisie wywieźli go do żorskiego lasu i tam wypuścili. Do domu wrócił dopiero następnego dnia. Było jeszcze wiele innych przygód bergrata ale mijający czas wymazał je już z ludzkiej pamięci.



Rysował - Eugeniusz Pukala

2. Hubert – olejarz

* * *

Kiedys na kopalni „Książątko” czynny był kantorek, w którym wyznaczony pracownik zajmował się wydawaniem olejów i smarów na potrzeby oddziałów.

Pracownik ten posiadał w kantorku biurko z aparatem telefonicznym.

Przez wiele lat funkcję wydawcy olejów pełnił niejaki Hubert.

Pewnego razu — a było to w ostatnim dniu roku — nasz bohater bawił się na całonocnym balu sylwestrowym.

Rano wprost z balu Hubert wraz z żoną udali się do łaziskiego kościoła, by jak przystało na pobożnych ludzi godnie powitać Nowy Rok.

Znaleźli jeszcze miejsca siedzące w jednej z przednich ławek.

Po paru minutach zmęczony Hubert, położywszy głowę na ramieniu żony, zasnął i zaczął chrapać.

Co pewien czas jego żona dyskretnie obracała mu głowę, by spowodować jego ucieszenie.

Hubertowi chyba się śniło, że siedzi w swoim kantorku i wydaje oleje.

Kiedy w czasie mszy świętej ministranci głośno zadzwonili, Hubert zerwał się, przyłożył rękę do ucha, tak jakby trzymał słuchawkę telefoniczną i głośno zawołał:

- „Tu godo Hubert — dzisiaj oleju nie wydowom!”

Ludzie zgromadzeni w kościele zaczęli w jego kierunku odwracać głowy i lekko się uśmiechać.

Nie warto wprost z Sylwestra udawać się do kościoła na powitanie Nowego Roku.

Rysował - Jerzy Miciak



3. Diobół w kopalni

* * *

Na obszarze górniczym kopalni „Bolesław Śmiały” było wiele szybików.

Do jednego z nich znajdującego się na polach nieopodal tzw. „Swadźbówki” wpadła kiedyś pasąca się koza.

Widocznie drewniane zabezpieczenie wlotu szybika na powierzchni zbutwiało.

Szybik nie był na szczęście głęboki i pechowa koza przeżyła nieszczęśliwy upadek. Doznała jedynie złamania nogi i ogólnego potłuczenia.

Było to w pobliżu podziemnej sztolni prowadzącej do szybów „Książątko”.

Tego dnia przechodziło sztolnię dwóch górników, kiedy to usłyszeli jakieś beczenie.

Lekko przestraszeni udali się w kierunku dochodzącego głosu.

W świetle słabych lamp karbidowych zauważyli nagle w ciemnościach łeb diabła.

Błyszcząły ślepie, widać było rogi, uszy i kudłatą brodę.

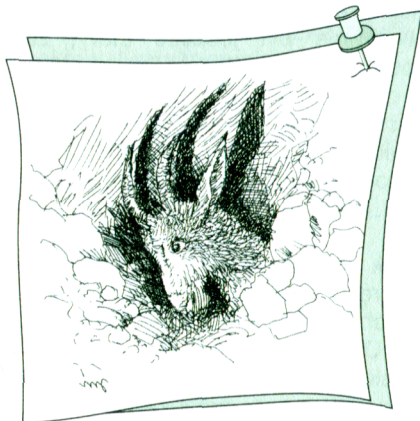
Jeden z górników uciekł z przerażenia, ale drugi bardziej odważny pozostał na miejscu, przypatrywał się uważnie zjawie, podszedł nawet nieco bliżej, a kiedy koza żałośnie zabeczała, rozpoznał to stworzenie.

Przywołał przestraszonego kolegę, wzięli poturbowaną kozę na ręce i przenieśli do sztolni, skąd załadowawszy ją do wozu kopalnianego, zawieźli na powierzchnię szybów „Książątko”.

Tam w łaźni górniczej bademajster (kierownik łaźni) Nowak usztywnił kozie złamaną nogę i opatrzył rany.

Potem przewieziono kozę do końskiej stajni na „Aleksandrze” gdzie przebywała przez jeden tydzień, to jest do czasu, aż zabrał ją prawowity właściciel.

Rysował - Jerzy Miciak



4. Prinzengrube czyli Książątko

* * *

Niewielu już łaziszczan pamięta kopalnię „Książątko”.

Potocznie była nazywana „Princokiem”, ponieważ wywodziła się z niemieckiej nazwy „Prinzengrube”.

Położona była na terenach rozbudowanej obecnie „Elektrowni Łaziska”.

Starzy emeryci tej kopalni wspominali o niej zawsze z dużym sentymentem.

Kiedy w latach międzywojennych na skutek kryzysu gospodarczego wstrzymano w niej wydobywanie, po Łaziskach krążyła pewna piosenka zaczynająca się od słów:

- Ta nasza Princowa „Książątkiem” nazwali i już za dwa lata fedrować przestali.

Było też takie powiedzenie:

„Łza się kręci w moim oku ,
Jak se wspomna o „Princoku”.

5. Kościelny

* * *

Bardzo dawno temu, bo przed wojną, nie było pracowniczych przewozów autobusowych.

Górnicy dojeżdżali do kopalni własnymi rowerami, lub dochodzili pieszo.

Na kopalnię „Książątko” niektórzy dojeżdżali nawet z dość odległych Woszczyc.

Pewien górnik z tej miejscowości nabawiwszy się pylicy wysłany został na rentę inwalidzką.

Ponieważ nie był jeszcze stary, zatrudnił się jako kościelny przy kościele p.w. św. Piotra i Pawła w Woszczycach.

Kiedyś zacny ksiądz proboszcz Z. chcąc nadać nabożeństwu z okazji Zielonych Świątek bardziej uroczysty i obrazowy charakter postanowił użyć białego gołąbka jako symbolu Ducha Świętego.

Polecił kościelnemu, by ten w czasie kazania, po słowach:

- „Oto Duch Święty” - wypuścił z zakrystii na kościół tego gołąbka.

Kiedy tak się stało i proboszcz wypowiedziawszy umówione słowa podniósł rękę ku górze gołąbek jednak nie wyfrunął.

Więc po chwili zawołał jeszcze raz:

- „Oto Duch Święty”

Po tych słowach kościelny wyskoczył z zakrystii i zawołał:

- „Księżę proboszczu gołąbka kot zeżarł”.

6. Klachowiec

* * *

Klachowcem nazywano rejon wzdłuż obecnej ulicy 22 Lipca w Łaziskach Średnich.

Gdy wybudowano tam pierwsze domy, mieszkające w nich kobiety zbierały się w wolnych chwilach, aby omawiać swoje babskie sprawy i zwyczajnie plotkować (klachać).

Śpiewano też taką piosenkę na melodię przedwojennego szlagieru „Jestem młoda wdowa”:

„Jestem młody wdowiec
Chodza na klachowiec
Tam mnie dziółchy znają
I co trzeba dają.”

7. Pekin

* * *

Kolonia górnicza o tej nazwie należała do kopalni „Waleska” i znajdowała się przy dzisiejszej ulicy Wyrskiej.

Obecnie kolonia ta już nie istnieje (budynki rozebrano).

Jak przy wszystkich starych budynkach mieszkalnych należących do kopalni, tak i na „Pekinie” istniały zabudowania gospodarcze, w których znajdowały się nie tylko chlewiki, kurniki i gołębniki, ale również piekaroki, czyli piece do wypieku chleba.

Przed wojną mieszkali na „Pekinie” podobno bardzo szwarne dziółchy. Chłopcy z tej kolonii górniczej traktowali je jako swoje.

Toteż gdy pojawił się na zolytach jakiś synek z poza „Pekinu”, bywał przez miejscowych chłopców łapany i zamykany w jednym z piekaroków. Trzymano go tam czasem przez całą noc i wypuszczano dopiero rano.

Nie łatwo było zdobyć dziółchę z „Pekinu”.

8. Bandwurm czyli tasiemiec

* * *

Było to dawno temu. Jeszcze przed wojną. Odbływały się uroczystości barbórkowe.

Na suty górniczy poczęstunek została zaproszona grupa kolejarzy z miejscowej stacji kolejowej Łaziska.

Działo się tak od wielu lat, bo górnicy ściśle współpracowali z kolejarzami w zakresie ekspedycji wagonów z węglem.

Wśród zaproszonych gości był jeden kolejarz, który nie potrafił nigdy dobrze popić.

Czuł wstręt do alkoholu, gdyż po wypiciu dwóch kieliszków zbierało mu się na wymioty.

Jednak atmosfera wesołego świętowania udzieliła się chorowitemu kolejarzowi, który zapomniał o swoich dolegliwościach.

Popił solidnie. Po trzech godzinach biesiadowania poczuł się bardzo źle.

Bolało go brzuch i zbierało mu się na wymioty.

Udał się więc do toalety. Po dłuższym w niej pobycie wyszedł blady jak pobielona ściana.

Swoim kolegom wyznał drżącym głosem, że z odbytu wychodzi mu kawałek jelita.

Zaprowadzili więc nieszczęśnika do pobliskiego domu, w którym mieszkał pewien sztygar.

Tam dokonano stosownych oględzin. Stwierdzono ponad wszelką wątpliwość, że z tyłka kolejarza wychodzi długi pasożytniczy tasiemiec.

Po krótkim namyśle uznano, że dla całkowitego pozbycia się pasożyta, trzeba utrapionemu koledze jakoś pomóc.

Posadzono go na wiadrze i siłą wiano do gardła ćwiartkę czystej.

Ponad pół godziny trwało postępowanie na wiadrze, kruczenie w jelitach i wicie się z bólu poszkodowanego.

Jego czoło zraszały krople potu.

Nagle we wiadrze coś chlupnęło, a twarz kolejarza rozjaśnił uśmiech. Było po wszystkim.

Pokaźna kupka tasiemca znalazła się na dnie wiadra. Od tego czasu nasz kolejarz poczuł się zdrowszy i nieraz dobrze popił.

Rysował - Bogdan Grzywa



Często widywano go w restauracjach Sikory, Korczyka i Muchy. Tak, więc widzimy, że wódka nie zawsze szkodzi, a w skrajnych przypadkach może nawet pomóc.

O zdarzeniu tym opowiadał przedwojenny kolejarz stacji Łaziska - Alojzy Urbaniec.

9. Pechowy mantel

* * *

Było to jeszcze przed wojną.

Konrad... ekspedytor z kopalni „Książątko” wybrał się wraz z żoną Fridą na zabawę karnawałową do gospody Korczyka w Łaziskach Średnich. Zabawa była bardzo udana, wszyscy dobrze potańczyli, pojedli i popili. Konradowie powrócili nad ranem do domu.

Następnego dnia Frida w czasie chowania konradowego płaszcza do szafy zauważyła, że jest on jakiś ciężki i długi.

Po dłuższych oględzinach zorientowała się, że płaszcz został w garderobie gospody przez nieuwagę zamieniony.

Kiedy Konrad dowiedział się o pomyłce, poszedł natychmiast do Korczyka, by dowiedzieć się czy ktoś nie zgłaszał zaginięcia płaszcza.

Niestety właściciel gospody nic na ten temat nie wiedział.

Zaczęły się poszukiwania wśród znajomych uczestników zabawy, ale ku strapieniu Konrada, zakończyły się również niepowodzeniem.

I tak minęły dwa tygodnie.

Trwała zima i Konrad nie miał w niedzielę czego ubrać.



Kiedy stracił wszelką nadzieję na odzyskanie swojej zguby, zabrał posiadany cudzy płaszcz i poszedł z nim do krawca w Zawieści w celu dokonania przeróbki.

Erwin Skoczyłoda (tak się nazywał krawiec) wziął miarę od Konrada, obciął 25 cm płaszcza od dołu oraz skrócił rękawy.

Rysował - Jerzy Miciak

Teraz, po przeróbce, płaszcz pasował dobrze, choć wydawał się trochę za szeroki w ramionach.

Sprawę można było uważać już za zakończoną, ale po upływie kolejnych dwóch tygodni ktoś zapukał do drzwi Konradów.

Kiedy gospodarz je otworzył zobaczył wysokiego i tęgiego mężczyznę, trzymającego na rękach płaszcz. Był to płaszcz Konrada.

Po wyjaśnieniu przyczyny niespodziewanych odwiedzin nastąpiła wymiana płaszczy.

Kiedy przybyły gość rozłożył w swoich rękach odzyskaną zgubę, poczerwieniał na twarzy i zaryczał:

– „Coś ty do stu pieronów zrobił z moim mantlem?” Powstała straszna awantura.

Konrad drżącymi rękami wyciągnął z szafy obciętą część płaszcza i powiedział:

– „A dyc nie rycz tak głośno, przeca jo nie chca nic od ciebie. Weź se to obcięte i dej mi chłopie święty spokój”.

Poszkodowanym okazał się mieszkaniac pobliskich Wyr.

10. Hundekolonie czyli Psia Kolonia

* * *

W czasach pruskich w okresie I wojny światowej w budynkach kopalnianych przy dzisiejszej ulicy Świerczewskiego zakwaterowano fachowców sprowadzonych z okolic Wałbrzycha (po niemiecku Waldenburg). Nazywano ich Waldenburgerami.

Ich zakwaterowanie w Łaziskach było związane z intensywnym rozwojem miejscowego przemysłu, a zwłaszcza z budową kopalni „Książątko” wraz z „Kraftwerkkiem”, czyli załączkiem dzisiejszej huty i elektrowni.

Czasy I wojny światowej były okresem panującego głodu.

Sytuacja ta doprowadziła do tego, że Waldenburgerzy wyłapywali wałęsające się psy.

Zabijali je, zapiekali w cieście i zjadali.

Kopalniane domy, w których mieszkali, nazywano od tego czasu potocznie „Hundekolonie”.

Nazwa ta przetrwała do czasów dzisiejszych.

11. Jak Konrad się oparzył

* * *

Jeszcze przed wojną na ekspedycji kopalni „Książątko” pracował Konrad P.

Pewnej nocy kiedy było bardzo zimno, wiał wiatr i padał lodowaty deszcz, Konrad musiał pójść na torowisko, by okartkować ekspediowane wagony kolejowe załadowane węglem.

Wrócił na ekspedycję strasznie zziębnięty i przemoczony.

Przytulił się do gorącego kaloryfera i rozkoszował się ciepłkiem.

Po paru minutach przemoczone spodnie zaczęły parować, aż po chwili Konrad ryknął z bólu, bo gorąca para sparzyła mu delikatną skórę tego co nosił w spodniach.

Chorował przez tydzień, a jego żona Frida owijała mu trzy razy dziennie sparzoną część ciała białą szmatką moczoną w słodkiej śmietanie.

Ze zdarzenia tego wypływa nauka, że należy bardziej dbać o swój własny interes.

12. Pijano Regina

* * *

Ten sam Konrad wiele lat później spotkał się z kolegami, ponieważ jeden z nich został szczęśliwym ojcem.

Z okazji tej dość mocno popili.



Rysował - Jerzy Miciak

Konrad wracał do domu bardzo chwiejnym krokiem i co pewien czas chwycił się przydrożnego drzewa lub płotu.

W tak kłopotliwym stanie napotkała go krewniaczka imieniem Regina.

Zlitowała się nad nim, chwyciła go pod ramię i prowadziła w kierunku jego domu.

Na miejsce doszli bardzo utrudzeni.

Kiedy drzwi wejściowe otwarła jego żona, Konrad odezwał się:

- „Patrz Frida, przyprowadził zech pijano Regina. Rozściel łóżko, bo musimy ją położyć. To wstyd żeby córka twojej siostry tako łozarto chodziła po łaziskach”.

Takim był Konrad.

13. Wizyta szpitalna

* * *

Przez wiele lat żyła w Łaziskach pewna górnicza rodzina. Byli pracownicy, ale trochę umysłowo ograniczeni.

Ona nazywała się Berta, a on Alojz.

Kiedyś Berta zachorowała i umieszczona została w mikołowskim szpitalu.

Alojz wiedział, że chorą żonę trzeba w szpitalu odwiedzić.

Wybrał się więc do mikołowskiego szpitala, odnalazł pokój i łóżko żony.

Jakież było zdziwienie pacjentek szpitala, kiedy zobaczyły, że Alojz rozebrał buty i spodnie i wszedł pod koc do łóżka chorej.

Wezwano siostrę szpitalną i ta nakazała Alojzowi opuścić łóżko.

Ten jednak nie usłuchał i wciągnął koc na głowę.

Przywołano więc lekarza dyżurnego i sanitariusza. Ci siłą wyciągnęli Alojza z łóżka.

Ten jednak był oburzony i krzychał:

„Dyć to jest moja baba, a nie wasza! Nic wam do niej!”



Rysował - Bogdan Grzywa

14. Wczasy w Murzasichlu

* * *

We wczesnych latach panowania Gomułki kopalnia nie posiadała jeszcze własnych domów wypoczynkowych. Dlatego na potrzeby wczasów rodzinnych wynajęto drewniany dom góralski i przyległy barak w miejscowości Murzasichle koło Zakopanego.

Właścicielem budynków był miejscowy góral Polidor.

W domu tym brak było wygod. Umywalki z wodą znajdowały się tylko na korytarzach. Jedna ubikacja była na podwórku.

Te niewygody nie przeszkadzały jednak wtedy nikomu.

Wczasowiczów przewoził do tej górskiej miejscowości luksusowy autobus kopalniany marki „Berliet”.

Ponieważ kopalnia posiadała wówczas własne gospodarstwo rolne, zabierano więc do autobusu kartofle, zieloną sałatę, kapustę i inne płody ziemi.

Produkty te jedzono tam przez cały letni sezon.

Na wczasach w Murzasichlu panowała rodzinna atmosfera. Wszyscy się wspólnie bawili i chodzili na górskie wycieczki.

Niektórzy wczasowicze przywozili na wypoczynek własne instrumenty muzyczne.

W miejscowej kawiarni „Sichlanka” odbywały się wieczorne spotkania połączone z graniem i śpiewaniem.

Tam też trwało bratanie się górników z góralami.

Kiedyś górale poprosili, by łażyscy grajkowie zagrali na ich zabawie tanecznej w miejscowej remizie strażackiej.

Początkowo górnicy się bronili tłumacząc, że przecież nie są orkiestrą ani kapelą, ale całkowitymi amatorami grającymi od czasu do czasu dla własnej przyjemności.

Po długich targach górnicy z Łazisk się jednak zgodzili pod warunkiem, że będzie to spotkanie w wąskim gronie, głównie rodzin strażackich.

Kiedy w niedzielę rano nasi wczasowicze szli do miejscowego kościoła, zauważyli, że we wsi rozwieszone są plakaty o następującej treści:

„W niedzielę od godziny 17⁰⁰ w remizie strażackiej rozpocznie się zabawa taneczna. Przygrywać będzie doborowa orkiestra górnicza z Łazisk”.

Na „muzykantów” padł błdy strach. Jednak na odwoływanie imprezy było już za późno.

I wreszcie zagrali. Z prawdziwych instrumentów był jedynie akordeon i gitara. A ponadto jeden górnik grał na zielonym listku, inny na szlagcojgu, czyli perkusji zrobionej z kija, blaszanych puszek i kolorowych wstążek, a jeszcze inny na butelce po winie z odciętym dnem.

Zabawa była bardzo huczna, a sala nie mogła pomieścić wszystkich chętnych.

Według opinii miejscowych górali tak udanej zabawy w Murzasichlu jeszcze nie było.



Rysował - Jerzy Miciak

Ponieważ dochód ze sprzedanych biletów był bardzo wysoki, dlatego organizatorzy zafundowali wczasowiczom z Łazisk beczkę piwa.

Wystawiono ją do publicznego picia przy głównej ulicy Sądelskiej.

Tam każdy mógł podejść i napić się do woli.

Wczasowicze z „Bolesława Śmiałego” ułożyli też w Murzasichlu pewną piosenkę, którą śpiewano potem na wycieczkach i przy ogniskach.

Składała się z sześciu zwrotek i powtarzanego refrenu:
Zaczynała się tak:

Gdy praca twa górnicza
Smutkiem okrywa lica
Gdy do życia ci ochoty brak
Rzuć kilof i swe troski
Przyjeżdżaj do tej wioski
Którą śmiesznie Murzasichle zwą

Refren:

Tylko tutaj znajdziesz co trzeba
I radość i miłość wśród gór
Tylko tutaj tak blisko nieba
Zapomnisz co smutek, co znój.

Ostatnia zwrotka brzmiała następująco:

Jak wszystko w życiu mija
Tak minie wczasów chwila
Tu przeżyta wśród góralskich chat
O Smyczku⁷⁾, Polidorze
Przypomnisz kiedyś może
Gdy ci życie znów przysporzy lat

⁷⁾ Smyczek był wtedy kierownikiem domu wypoczynkowego.

15. Kontrola w Murzasichlu

* * *

Kiedys dyrektor kopalni wziął sobie 5 dni urlopu i wyjechał z Łazisk.

A zawsze, gdy dyrektor wyjedzie jest w kopalni pewien luz.

Wtedy to właśnie jedna z wpływowych osób z kierownictwa uznała, że jest właściwa pora do przeprowadzenia kontroli działalności domu wypoczynkowego w Murzasichlu.

Pan ten jakimś sposobem załatwił sobie dyrektorski samochód (była to „Warszawa”) i wraz z kierowcą wyjechał na kontrolę.

Po jej przeprowadzeniu mieli wracać w sobotę, ale kontrola się jakoś przedłużyła i wracali dopiero w niedzielę po południu. Z Murzasichla do Łazisk jedzie się zwykle przez Poronin. Ale w tamtą niedzielę w miejscowości tej odbywał się odpust. Droga w centrum Poronina była zatłoczona ludźmi i dyrektorska „Warszawa” z trudem torowała sobie drogę.

Nagle przed maską samochodu pojawił się koń, a za nim bryczka. Góral powożący tym pojazdem coś wykrzykiwał i śmigał konia batem. Nagle bryczka przednim kołem zahaczyła o błotnik „Warszawy”, wyginając go, a potem wystająca część osi koła przejechała po drzwiach i tylnym błotniku zdzierając lakier.

Kontrolerowi siedzącemu w aucie zimny pot zrosił czoło. Pierwsza myśl dotyczyła tego, co powie pan dyrektor, kiedy zobaczy swój pognieciony samochód.

Trzeba tu wyraźnie wyjaśnić, że wyjazd służbowy „Warszawą” do Murzasichla odbył się bez wiedzy dyrektora.

Po powrocie do Łazisk ściągnięto w pośpiechu dwóch blacharzy samochodowych i ci w kopalnianym garażu przez całą noc prostowali blachy błotników i drzwi.

Ale i tak w poniedziałek dyrektor o wszystkim się dowiedział.

Było trzęsienie ziemi, co nikogo nie powinno dziwić.

16. Poranne golenie

* * *

Pewien starszy sztajger z „Upadowej Brada” golił się kiedyś rano w łazience przed lustrem i tak mówi do swojej żony:

- „Wysz Hilda, jak jo się łogola, to czuja sie zaroz o dwadzieścia lot młodszy.”

A żona na to:

- „A nie mógłbyś się tak golić zawsze wieczorem zanim idymy spać.”

17. Kohlenbuch

* * *

Dawniej pracownicy kopalni nie otrzymywali asygnat talonów uprawniających do pobierania węgla deputatowego, a jedynie książeczki węglowe nazywane „Kohlenbuchami”.

Kiedyś pojawił się na pasterce w noc Bożego Narodzenia w łaziskim kościele pewien górnik.

Był dość mocno na rauszu po wigilijnej rybce.

Kiedy inni wierni trzymali w rękach książeczki kościelne i donośnie śpiewali kolędy, nasz górnik nie mając książeczki do nabożeństwa, wyciągnął z kieszeni swoją książeczkę węglową (Kohlenbuch), otworzył ją i całą pasterkę śpiewał z niej kolędy.

Rysował - Jerzy Miciak



18. Zdun

* * *

Było to w latach sześćdziesiątych minionego stulecia.

W zakładowych budynkach mieszkalnych zajmowanych przez kadrę kierowniczą nie było wtedy jeszcze centralnego ogrzewania.

W pokojach znajdowały się piece kaflowe dające bardzo przyjemne ciepło.

W jednym z takich budynków mieszkał ówczesny dyrektor kopalni.

Zdarzyło się kiedyś, że jeden z pieców kaflowych w mieszkaniu pana dyrektora zaczął dymić.

W sytuacji tej, dyrektor przedzwonił do kierownika działu budowlanego, prosząc o posłanie do jego mieszkania zduna w celu oczyszczenia pieca.

Kompetentny pracownik zjawił się w tym samym dniu w dyrektorskim mieszkaniu i przystąpił do swoich czynności.

Przy czyszczeniu pieca zdunowi asystowała znajdująca się w mieszkaniu kobieta. Z własnej inicjatywy odbierała od niego wiadra napelnione sadzą i wynosiła je do podwórzowego śmietnika. Zdun myślał, że jest to służąca państwa dyrektorstwa, więc w przerwach, kiedy sprawdzano ciąg w piecu, pozwalał sobie na pewne kąśliwe epitety pod adresem dyrektora, nazywając go między innymi gorolem i cepem.

Kiedy pracownik oddziału budowlanego wrócił z powrotem na kopalnię, zgłosił się do swojego przełożonego, by zdać relację z wykonanej roboty.

Wtedy okazało się, że pan dyrektor nie posiada w domu żadnej służącej, a osobą pomagającą przy czyszczeniu pieca była sama pani dyrektorowa.

Na tę wiadomość zimny pot zrosił czoło zduna.

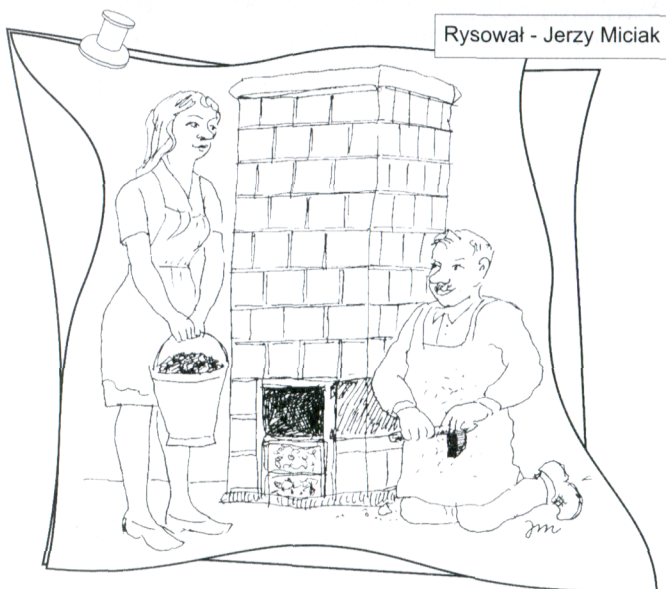
Na drugi dzień został wezwany do dyrektora.

Kiedy przekraczał próg dyrektorskiego gabinetu, ugięły się pod nim nogi i ze strachu drżał na całym ciele. Pan dyrektor przywitał go z uśmiechem. Poprosił, by sobie usiadł a następnie podziękował mu za dobrze wykonaną robotę.

Stwierdził, że teraz w piecu jest bardzo dobry cug.

Wręczył zdunowi druczek zlecenia wypłaty premii za wykonaną robotę z którym ten zaraz udał się do kasy.

Wtajemniczeni w tę sprawę długo zastanawiali się nad tym, kto okazał się w tej sytuacji bardziej wspaniałomyślny pani dyrektorowa, czy pan dyrektor.



19. Himek

* * *

W pierwszych kilkunastu powojennych latach kopalnia posiadała jeszcze stajnię, konie i własny tabor konny.

Zaprzęgami konnymi przewożono różne materiały.

Wykorzystywano je również dla utrzymania czystości placów i otoczenia kopalni.

Pewnego razu pracownik oddziału gospodarczego imieniem Himek ładował na furę odpady i śmiecie.

Działo się to obok chodnika dla pieszych.

Traf chciał, że w tym czasie przechodził chodnikiem obok zaprzęgu konnego dyrektor kopalni.

Widocznie koniowi usiadła na łbie mucha, bo ten machnął łbem w bok, tuż przed panem dyrektorem.

Himek widząc to, mocno się zdenerwował i krzyknął do konia:

- „Cóż się pieronie oganiosz, nie widzisz, że dyrektor idzie!!!”

20. Wizyta ministra górnictwa

* * *

Kilka lat po wojnie resortem górnictwa kierował pewien minister, który był bardzo wymagający i drobiazgowy.

Zdarzyło się kiedyś, że podsekretarz stanu w ministerstwie, przedzwonił do dyrektora kopalni „Bolesław Śmiały” zapowiadając wizytację pana ministra.

Do zapowiedzianego przyjazdu pozostawały dwa dni.

Rozpoczęły się gorączkowe przygotowania.

Porządkowano oddziały dołowe, myto szyby w oknach, naprawiano i zamiatano chodniki na powierzchni, a straż pożarna posługując się węzami strażackimi zmywała drogi i place kopalniane.

W przeddzień wizyty, dyrektor kopalni zauważył, że nie chodzi zegar znajdujący się na wieżycze dachu portierni.

(Trzeba tu wyjaśnić, że w tamtych czasach główna brama wjazdowa i budynek portierni znajdowały się w innym miejscu).

W wyniku tego spostrzeżenia, główny mechanik otrzymał polecenie uruchomienia zegara.

W tym celu jeden z pracowników oddziału łączności wszedł po drabinie do wnętrza wieżyczki, by przeglądnąć stan werku zegara.

Niestety oględziny wypadły negatywnie, gdyż wszystkie trybiki były zużyte, gdzieś występowały rozległe ogniska rdzy tak, że nie było żadnej nadziei na uruchomienie zegara.

Niektórzy starzy pracownicy kopalni pamiętali, że zegar na portierni przestał już chodzić w czasie wojny.

Jednak polecenie dyrektora główny mechanik wziął sobie do serca i postanowił uruchomić zegar.

Istotnie w czasie kilkugodzinnego pobytu pana ministra w łaziskiej kopalni, zegar pięknie chodził.

Wielu pracowników fakt ten bardzo zdumiał.

Prawda wyszła na jaw następnego dnia na naradzie u dyrektora.

Okazało się, że w czasie trwania ministerialnej wizytacji, w wieżycze siedział przez cztery godziny pracownik oddziału łączności i ręcznie popychał wskazówki zegara. Był to pracownik o imieniu Wiluś.

Wieżyczka na dachu portierni miała małe gabaryty i dlatego Wiluś musiał tam siedzieć bardzo skurczony.

Kiedy po odejście pana ministra wyciągnięto pracownika z wieżyczki, okazało się, że ten ma trudności z chodzeniem na skutek znajdowania się przez kilka godzin w pozycji kucznej.

Po wizycie u lekarza zakładowego, Wiluś otrzymał trzy dni zwolnienia w celu pełnego zregenerowania sił, z zaleceniem smarowania ciała leczniczym balsamem.

21. Sekretarz i cybernetyka

* * *

Kiedy istniał jeszcze powiat tyski, to w mieście tym działał intensywnie Komitet Powiatowy PZPR.

Sz szczególnie ożywioną działalność prowadziła ta instancja za czasów sekretarza KK.

Komitet ten bez przerwy organizował różne narady, odprawy i szkolenia.

Na takich spotkaniach musieli obowiązkowo brać udział: dyrektorzy, sekretarze, a czasem również działacze związkowi z zakładów pracy całego powiatu.

Kiedyś zwołano do Komitetu Powiatowego w Tychach cały aktyw zakładów pracy na szkolenie poświęcone cybernetyce.

Byli również przedstawiciele kopalni „Bolesław Śmiały”.

Szkolenie trwało przez kilka godzin z przerwami na papierosa.

Tematyka była strasznie nudna, bo nikt ze słuchaczy niczego nie rozumiał.

Niektórzy drzemali, inni zaś szeptali coś między sobą.

Ale ciekawiej się stało, kiedy prelegent poprosił słuchaczy do dyskusji.

Kiedy się nikt nie zgłaszał, sekretarz powiatowy wyznaczał dyskutantów.

Była to bardzo humorystyczna dyskusja.

Ale najciekawiej było w czasie przerwy.

Ludzie stali grupkami, niektórzy pili napoje chłodzące z miejscowego bufetu.

Do grupki osób z „Bolesława” podszedł prelegent i próbował nawiązać rozmowę na temat swojego wykładu.

Wtedy kopalniany sekretarz wskazał prelegentowi na siedzącą obok bufetu atrakcyjną panią, która pijąc kawę miała założone nogi, ukazując bardzo kształtne udo i powiedział:

- „Widzicie towarzyszu ta dziółcha? Jo myśla, że ta prawdziwo cybernetyka to łona mo między nogami.”

Wszyscy wybuchnęli śmiechem i dyskusja na temat cybernetyki się zakończyła.

22. Wózki trza ładować do pełna

* * *

Znaną i lubianą postacią w górniczym i łaziskim środowisku był pan mgr inż. Hubert Marschall.

Przez wiele lat pełnił w kopalni funkcję naczelnego inżyniera, a potem dyrektora.

Był to chłop wysokości około dwóch metrów.

Kiedy podawał na powitanie rękę, to odczuwało się lekki lęk przed tym, by jego potężna dłoń nie zgniotła ręki witającego.

Miał w sobie coś z Longina Podbięty.

Kiedy więc pan Marschall zaczął pełnić funkcję naczelnego inżyniera, nie było jeszcze w kopalni pełnej mechanizacji.

Przy drażeniu chodników, w pracach załadowczych posługiwano się wtedy jeszcze łopatami.

Ładowacze mieli wtedy pracę zakordowaną i opłacani byli według ilości załadowanych wozów kopalnianych.

Zdarzało się, że czasem wozy nie były załadowane do pełna.

Kiedyś, gdy zaszła taka okoliczność, sztygar takimi to słowami zwrócił się do górnika-ładowacza:

- „Czemuż ty pieronie próbujesz cyganić? Dyc w tym tu wozie zmieściłby się jeszcze Marschall i dwie ocieпки słomy”.

23. Spowiedź wielkanocna

* * *

Były takie czasy kiedy pewnym osobom zatrudnionym na kierowniczych stanowiskach nie wolno było chodzić do kościoła. Dlatego niektórzy z nich uczęszczali od czasu do czasu do kościoła poza miejscem swojego zamieszkania.

Takim kościołem, bardzo popularnym wśród członków PZPR była bazylika O.O. Franciszkanów w Panewnikach.

Tam w półmroku krypty św. Józefa były idealne warunki do spowiedzi. Kiedyś zaistniała następująca sytuacja.

Pewien dyrektor zakładu pracy z pobliskiego Mikołowa i pewna osoba zajmująca kierownicze stanowisko w kopalni „Bolesław Śmiały” zostali oddelegowani do komitetu partyjnego PZPR w Tychach w celu opracowania pewnych materiałów na zbliżające się posiedzenie plenarne komitetu powiatowego.



Rysował - Bogdan Grzywa

Prace swe wykonywali w godzinach popołudniowych przez cały tydzień. Zwracali się do siebie per towarzyszu.

Jeden przed drugim czuł pewien respekt i nie wiedział co sądzić o partnerze.

Tydzień później towarzysz z „Bolesława Śmiałego” pojechał do panewnickiej bazyliki, by się wypowiadać, gdyż kończył się okres spowiedzi wielkanocnej.

Miał pecha, bo przy tym samym konfesjonale w krypcie stał przed nim towarzysz, z którym pracował przed tygodniem w tyskim Komitecie powiatowym.

Mimo panującego półmroku obydwaj się rozpoznali a równocześnie strasznie zdenerwowali.

Zdekonspirowani odmawiali potem w tej samej ławceadaną pokutę. Wyszli razem z bazyliki, przywitali się i uznali, że trzeba pójść się czegoś napić.

Potem w panewnickiej restauracji przepili sobie bruderszaft.

24. Hanek

* * *

Przez wiele lat powojennych pracował w magazynie kopalni pewien starszy kawaler imieniem Hanek.

Był trochę upośledzony, ponieważ w czasie wojny został ranny w głowę. Dobrze pracował, lecz dość często lubił sobie wypić.

Dlatego od czasu do czasu zdarzało mu się nie przyjść do pracy.

Po takich wpadkach chodził potem z podaniem o usprawiedliwienie swoich bumelek.

Chodził do dyrekcji, do rady zakładowej, a czasem i do sekretarza partii.

Różnie to bywało z usprawiedliwianiem Hankowych bumelek.

Czasami załatwiano jego podanie pozytywnie - patrząc trochę na jego nieobecności w pracy przez palce.

Ciekawy był jednak sposób, w jaki Hanek próbował usprawiedliwić swoje bumeleki.

Bywało, że kiedy przyszedł do dyrektora, padał na kolana, składał ręce jak do modlitwy i w takiej pozycji prosił o usprawiedliwienie swojej nieobecności.

Kiedyś tłumaczył, że nie przyszedł do pracy, ponieważ mama schowała mu jego galoty.

Innym razem - a było to w 1968 roku, kiedy to wojska państw Układu Warszawskiego wkroczyły do Czechosłowacji - Hanek wyjaśniał, że żołnierze rosyjscy zabrali go do czołgu i wypuścili dopiero w okolicach czeskiej Pragi.

Tłumaczył potem, że do domu wracał na piechotę.

Wtedy w pracy nie było go przez 6 dni.

Nigdy nie było wiadomo, kiedy Hanek kłamie, a kiedy mówi prawdę.

Była to ciekawa i barwna postać.



Rysował - Jerzy Miciak

25. Dialog dyrektora z Hankiem

* * *

Decyzją Ministra Górnictwa powołano nowego dyrektora kopalni „Bolesław Śmiały”.

Już w drugim dniu urzędowania pan dyrektor chcąc bliżej zapoznać się z nową kopalnią udał się na wizytację powierzchni.

Jednak nikt go jeszcze wtedy nie znał.

Poszedł między innymi zobaczyć magazyny kopalni.

Kiedy tamtędy przechodził zauważył, że jakiś człowiek zamiata betonową posadzkę, a przy tej czynności unoszą się tumany kurzu. Zamiatającym był Hanek.

Nowy dyrektor przystanął i zwrócił uwagę pracownikowi, by przed zamiataniem skropił posadzkę wodą.

A Hanek na to:

- „To posikaj mi”

Dyrektor zaś odparł:

- „Proszę nie być bezczelnym i wulgarnym. Jestem nowym dyrektorem tej kopalni.”

Hanek przystanął, oparł się na miotle i odpowiedział mniej więcej tak:

- „Nie mądruj, jak żeś jest dyrektorem, to szanuj se tą robotą, bo lepszej nie dostaniesz.”

Finał zdarzenia miał miejsce następnego dnia w gabinecie dyrektora, dokąd Hanek został wezwany.

Ale przewodniczący rady zakładowej wyjaśnił dyrektorowi, że sprawca zdarzenia ma trochę w głowie źle poukładane i by nie robił mu krzywdy.

Skończyło się tylko na naganie.

26. Kawalerska jazda furą

* * *

Przez wiele lat pracował na „Bolesławie” pewien inżynier, który lubił dobrze zjeść i wypić.

Nadzorował wykonawstwo robót budowlanych, więc miał szerokie znajomości z przedstawicielami różnych firm.

Ulubionym miejscem jego biesiadowania była restauracja „U Emila”, gdzie serwowano bardzo smaczne golonka.

Kiedyś pan inżynier z kolegami pojechał do tej restauracji furą zaprzęgniętą w białego konia.

Powoził pewien gospodarz z Gostyni, który miał z kopalnią zawartą umowę na przewozy różnych materiałów na roboty inwestycyjne.

Biesiada przebiegała w doskonałej atmosferze i trwała kilka godzin.

Najbardziej ucierpiał gospodarz właściciel konia i fury.

Kiedy trzeba było iść do domu, to furman leżał już pod stołem i nie wiedział nic o bożym świecie.

Postanowiono więc, że trzeba furą zawieść pana inżyniera do domu w Mikołowie.

Koledzy posadzili więc inżyniera na furze, podkładając mu pod zadek worek z sianem. Do rąk włożyli mu lejce i śmignęli konia batem.

Świadkowie, którzy widzieli jazdę inżyniera furą mówią, że dwa razy wjechał do rowu, pogubił wszystkie deski przynależne do wozu konnego, ale szczęśliwie i ku radości sąsiadów podjechał pod swój blok mieszkalny.

Tam zawrócił furę, śmignął konia batem i siwek sam pojechał w kierunku Gostyni.

Podobno był prędzej na podwórku gospodarstwa, niż jego właściciel.

Mówi się, że koń ma dobrą pamięć i zawsze trafi do swojej stajni.

27. Lichy kierowca

* * *

Na „Bolesławie” pracował pewien inżynier o inicjałach P.P., który dopiero krótko przed emeryturą zdał egzamin na samochodowe prawo jazdy. Kupił sobie więc niewielkie auto.

Garażował w budynku straży pożarnej naprzeciw okien starego budynku administracyjnego kopalni w Łaziskach Średnich.

Był kiepskim kierowcą i miał ogromne trudności z ruszaniem z miejsca oraz z wjazdem i wyjazdem z garażu.

Kiedy więc inżynier P.P. szedł do garażu, to w biurach ogłaszano stan pogotowia. Ludzie podchodzili do okien, przylepiali twarze do szyb i obserwowali.

Z garażu się dymiło, silnik ryczał pracując na najwyższych obrotach. Raz auto wysuwało się z garażu, to znów znikало w jego wnętrzu. Trwało to wszystko bardzo długo.

Kiedy zmęczony i spocony inżynier wyjechał wreszcie na ulicę, powstawał nowy problem, bo jezdnia w tym miejscu prowadziła lekko pod górkę.

Przy zmianie biegu auto zatrzymywało się i potem cofało z górki.

Straszna to była dla tego kierowcy męka.

Kiedy się jednak inżynier swym autem rozpędził, to jechał, aż miło było patrzeć. Pokonywał dość odległe trasy.

Jeździł nawet do Kłodzka gdzie mieszkała siostra jego żony.
Był kierowcą samochodowym chyba przez pięć lat i nigdy nie miał kolizji drogowej.
Podobno nie zapłacił również żadnego mandatu.
P.P. znany był również z tego, że w biurze przy swoim telefonie miał zawsze mocno pogmatwany sznur od słuchawki..
Współpracownicy dla żartów jeszcze bardziej mu ten sznur gmatwali, tak, że gdy prowadził telefoniczne rozmowy, to jego broda spoczywała niemal na blacie biurka.

28. Cudowne źródło

* * *

Pewien kierownik działu zazdrościł niektórym swoim kolegom, że ci, co jakiś czas zgłaszają projekty wynalazcze i po ich wdrożeniu pobierają wcale niemałe pieniądze.
Długo myślał nad tym, jaki by to zgłosić wniosek racjonalizatorski. Wreszcie wymyślił i zgłosił.
Jego projekt polegał na tym, by ze źródła znajdującego się w dolince na południowy wschód od szybów Aleksander poprowadzić rurociąg wodny do stołówki zakładowej.
Na tej źródlanej, smacznej wodzie można by przygotowywać zupy regeneracyjne, herbatę, kawę i różne inne potrawy.
Pomysł ten miał swój sens, bo woda ze źródła była krystalicznie czysta i bardzo smaczna.
Już przed wojną okoliczni mieszkańcy przychodzili tam po tę wodę, zabierali do domów i bardzo sobie ją chwalili.
Natomiast woda z sieci wodociągowej zawierała w tamtych latach jakąś zawiesinę, była brązowawa i czuć ją było chlorem.
Pomysł ten nie przynosił wprawdzie efektów ekonomicznych, ale jak sądził autor miał cechy pomysłu o charakterze BHP.
Poprawiał mianowicie jakość i zdrowotność podawanych w stołówce potraw i napojów.
By projekt wynalazczy lepiej „chwycił”, jego autor któregoś letniego dnia poprosił naczelnego inżyniera i innych członków komisji wynalazczości do zwiedzenia źródła i dokonania degustacji wody. Więc poszli.
Woda wszystkim smakowała, więc delektowali się nią.
Wszystko było na dobrej drodze i pomysłodawca już po cichu kalkulował ile to może za ten pomysł dostać pieniędzy.
Na posiedzeniu komisji wynalazczości zapadła jednak decyzja, by wodę ze źródła przesłać do szczegółowej analizy chemicznej.

Po dwóch tygodniach nadszedł wynik badań analitycznych, w którym stwierdzono występowanie w wodzie licznych bakterii typowych dla jadu trupiego.

Prawdopodobnie bakterie te pochodziły z pobliskiego cmentarza parafialnego, który położony jest wyżej.

Projekt wynalazczy został więc odrzucony, a jego autor nie dostał ani grosza.

29. Kalfaktor

* * *

Był kiedyś pewien kalfaktor, obsługujący swój oddział dołowy.

Powiedzmy umownie, że nazywał się Erwin.

Do jego zadań należało między innymi pobieranie materiałów z magazynu.

Częste przesiadywanie w magazynie wyzwoliło w kalfaktorze pewną spoufałość w stosunku do wydawczyń magazynowych.

Przy zażytej już znajomości kalfaktor zaczął się przechwalać jaką to ma dużą i okazałą męskość.

Przechwałki te były zbywane śmiechem.

Jednak Erwin ciągle wracał do tego tematu.

Pewnego razu jedna ze starszych wydawczyń zaproponowała, by przestał się już przechwalać, a raczej by pokazał to co posiada.

Erwin przystał na to, więc poszli w ustronne miejsce za regały magazynowe.

A kiedy kalfaktor pokazał to co posiada, magazynierka szybkim ruchem opieczętowała mu tę część ciała.

Na pieczętce było napisane „KWK Bolesław Śmiały. MagazynA”.

Bardziej wtajemniczeni opowiadali potem, że Erwin miał trudności ze zmyciem tuszu.

Było to dla niego ważne, ponieważ żona dowiedziała się podobno o zdarzeniu i domagała się pokazania dowodu rzeczowego.

30. Pechowy Lenin

* * *

Kiedy istniał jeszcze powiat tyski, a I Sekretarzem Komitetu Powiatowego PZPR był znany S.K., pochody pierwszomajowe odbywały się wyłącznie w Tychach. W mniejszych miastach i miejscowościach nie było ich.

Sekretarzowi zależało na tym, by tyski pochód swoimi rozmiarami i oprawą dorównywał Katowicom.

Dlatego już cały kwiecień każdego roku trwały wielkie przygotowania, a sekretarz powiatowy stojący na czele komitetu organizacyjnego wyznaczał poszczególnym zakładom pracy - zadania.

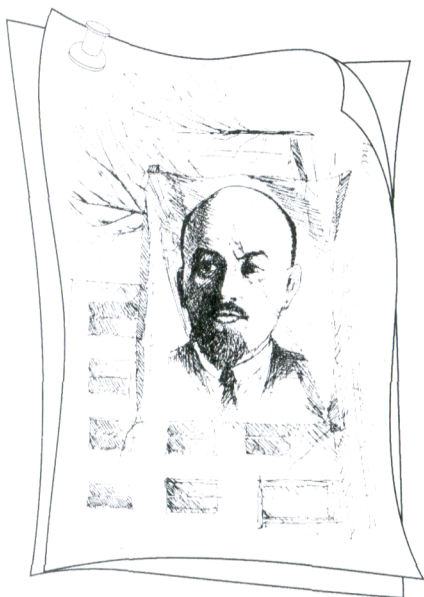
Pewnego razu kopalnia „Bolesław Śmiały” oprócz innych zadań, otrzymała polecenie wykonania olbrzymich rozmiarów portretu Lenina.

Portret ten miał być zawieszony na jednym z bloków mieszkalnych w Tychach, tuż za trybuną honorową pochodu.

Trwały więc intensywne prace, uganiali się plastycy i stolarze, po to, by wszystko dobrze wypadło.

W przeddzień pochodu olbrzymi portret wodza rewolucji z dużym trudem został umocowany na frontonie wyznaczonego bloku mieszkalnego przez pracowników działu budowlanego kopalni.

Rankiem dnia pierwszego maja przepełnione autobusy wyruszyły z manifestantami z wszystkich miejscowości powiatu w kierunku Tychów.



Ale w nocy pogoda się popsowała, zaczął dmuchać wiatr i zawieszony portret zaczął się chwiać.

Wreszcie rankiem dmuchnęło w niego jak w żagiel.

Portret zaczął się wydymać, potem zatrzęszczały jego listwy, a wreszcie poszybował i roztrzaskał się o uliczny asfalt.

Potem już tylko trwały sądne dni.

Rysował - Jerzy Miciak

31. Jak trza, to trza

* * *

Niektórym górnikom zdarzało się czasem opuścić dniówkę bez usprawiedliwienia. Była to tak zwana bumelka.

Taka nieobecność pociągała za sobą dolegliwe konsekwencje w postaci zmniejszenia lub całkowitego skreślenia trzynastej pensji.

Tak więc pod koniec każdego roku, kiedy zbliżał się termin wypłat nagrody rocznej, do dyrektora kopalni wpływało dużo podań z prośbą o usprawiedliwienie bumelek.

W podaniach zawarte były różne powody i przyczyny zaistnienia nieusprawiedliwionej nieobecności oraz zapewnienia, że bumelki już się nie powtórzą.

Na końcu każdego podania zawarta była gorąca prośba o usprawiedliwienie.

Tak samo było w czasach, kiedy dyrektorem kopalni był pan Z.Z.

Znany był z tego, że niezbyt chętnie usprawiedliwiał bumelki.

Do tego właśnie pana dyrektora wpłynęło jedno z podań, w którym petent szeroko opisywał przyczyny swojej nieobecności w pracy, a na końcu zamiast gorąco prosić napisał:

- „Z takiej przyczyny moje opuszczone dniówki trza usprawiedliwić!”

Dyrektor zaś na podaniu naniósł następującą adnotację:

- „DSP/PZ - zgoda - jak trza, to trza!”

I dniówki zostały usprawiedliwione.

32. Partyjny skarbnik

* * *

Kiedyś składki partyjne PZPR wpłacane były przez członków tej organizacji w dniu wypłat bezpośrednio z ręki.

Składki te zbierał skarbnik zatrudniony na pół etatu.

Miał on zawsze kłopoty z wydawaniem reszty pieniędzy, gdyż prawie wszyscy próbowali dokonywać wpłat banknotami o wysokich nominałach. Nikt nie miał drobnych.

Za czyjąś namową, skarbnik ten nawiązał kontakt z pewnym proboszczem pobliskiej parafii.

Umówili się, że będą wymieniać sobie pieniądze.

Skarbnik partyjny pobierał od proboszcza bilon pochodzący z datków kościelnych, a płacił mu banknotami.

Obydwie strony były zadowolone.

Od tej pory regulowanie składek miesięcznych przez towarzyszy partyjnych u skarbnika przebiegało bardzo sprawnie i wszyscy się dziwili skąd ten ma nagle tyle drobnych pieniędzy.

Mimo, że były to jeszcze czasy Gomułki, to był to już praktyczny przykład współpracy pomiędzy partią, a Kościołem na szczeblu lokalnym.

33. Pocziwy kierownik

* * *

Czasem się słyszy obiegowe opinie, jakoby za komuny wszyscy kradli. Nie jest to całkiem prawdą. Oto przykład:

Za czasów Gierka i Jaruzelskiego pracował w kopalni pewien kierownik działu budowlanego, który z pracy niczego nie wynosił do domu.

Kiedys jego synek poprosił go, by dał w stolarni swojego działu zrobić dla niego kadłubek na ptaki.

Dni mijały, synek nagabywał ojca, a kadłubka ciągle nie było. Tak minął cały miesiąc.

Wreszcie żona pana kierownika zatrudniona również w kopalni wzięła sprawę w swoje ręce.

Poprosiła pewnego stolarza zatrudnionego w oddziale jej męża, by zrobił dla synka ten wymarzony przedmiot. Za dwa dni kadłubek już wisiał na drzewie koło ich domu. Tata zaś zdziwił się skąd on się tam wziął.

Innym razem żona kierownika przyniosła z pracy do domu otrzymane od kalfaktora oddziałowego dwie pary rękawic roboczych.

Po paru dniach kierownik zabrał te rękawice z powrotem na kopalnię i dał podległym jemu pracownikom murarskim.

Fajny był z niego chłop.

Potem cała ich rodzina wyjechała do Niemiec, a nasz pocziwy kierownik po paru latach zmarł.

Spoczywa tam na starym cmentarzu w miasteczku Wernau.

„Dzisiaj mu gwiazdki mrugają na niebie
i samych Niemców mo kole siebie
leży tam, leży jak w domowym łóżu
w miasteczku Wernau, na starym cmentorzu”

Szkoda, że tacy ludzie jak on, tak krótko żyją.

34. Jak pewien sztygar zasnął na światłach drogowych

* * *

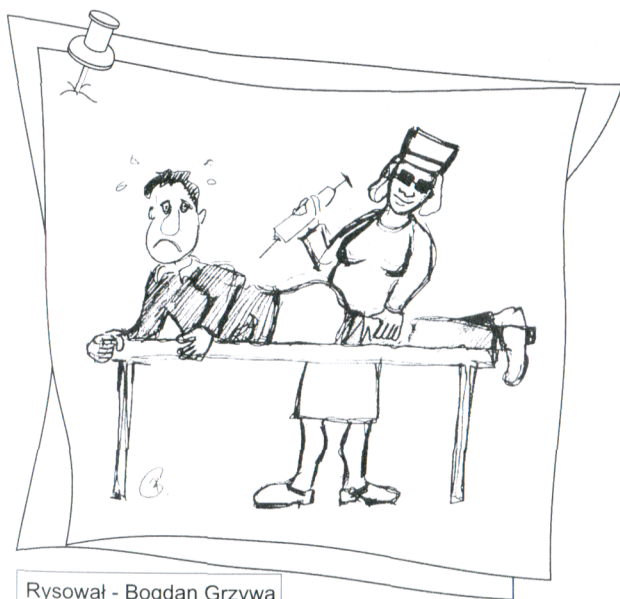
Pewien sztygar lubił sobie wypić i pobiesiadować z kolegami. Zdarzało mu się dość często prowadzić samochód w stanie upojenia alkoholowego. Nie miał większych oporów w tym względzie, ponieważ milicjanci z drogówki byli jego kolegami i znajomymi. Nic mu więc z ich strony nie groziło. Kiedyś prawie całą noc przehulał i mocno popił. Wracał swoim autem nad ranem do domu i zmuszony był zatrzymać się na czerwonych światłach drogowych. Było to na głównym skrzyżowaniu pod Mikołowem. Kiedy się zatrzymał był tak zmęczony, że położył głowę na kierownicy i zasnął. W międzyczasie światła zmieniły się z czerwonych na zielone, ale nasz sztygar dalej spał. Inne samochody trąbiły na niego, omijały, a on chrapał. Po pewnym czasie na miejsce to nadjechał patrol milicyjnej drogówki. Z trudem go zbudzono i wyciągnięto z samochodu. Prawo jazdy odebrano mu na kilka lat. Pech polegał na tym, że był to patrol z Gliwic z którym nasz sztygar nie miał żadnej znajomości.

35. Jak Alojz próbował przechytrzyć lisa

* * *

Pod koniec czasów gierkowskich, kiedy na rynku był dotkliwie odczuwany brak mięsa i jego przetworów, przy kopalni uruchomiono tuczarnię świń. Pozyskiwane mięso i jego przetwory przeznaczano dla stołówki, do zakładowych domów wczasowych, lub na poczęstunek w czasie trwania karnawałowych zabaw oddziałowych. Do miejsc hodowli świń często zakradał się lis wabiony zapachem odpadów poubojowych. Kiedyś urządzono na niego zasadzkę, złapano go i zabito. Wiadomym było, że zwierzę to może być roznosicielem wścieklizny i zagrażać trzodzie. Dlatego postanowiono przewieźć ubitego lisa do punktu sanitarno - weterynaryjnego w Brynowie, celem zbadania i wydania orzeczenia na okoliczność ewentualnego zakażenia wścieklizną.

Zadanie to powierzono pewnemu pracownikowi o imieniu Alojzy. Ten załadował ubitego lisa na samochód dostawczy, lecz zamiast do Brynowa, pojechał do swojego domu. Alojz wiedział bowiem, że do badania na okoliczność wścieklizny potrzebna jest tylko głowa lisa. Żał mu było oddać cenne futerko i piękny puszysty ogon. Powiesił więc lisa na haku w swoim garażu i odarł ze skóry. Obciął mu głowę, zabrał cenne futerko, a resztę zakopał w ogrodzie. W Brynowie odebrano od Alojza lisi łeb i spisano jego personalia. Na drugi dzień został telefonicznie wezwany do punktu sanitarno weterynaryjnego i oświadczono mu, że lis był wściekły. Zażądano od Alojza przywiezienia reszty lisiego ścierwa, futra i ogona w celu przeprowadzenia fachowego zniszczenia. Nasz pechowy bohater musiał więc pojechać do swojego domu, wykopać z dołu lisie resztki, zabrać cenne futerko i oddać to wszystko w Brynowie. Tu jednak utrapienia Alojza się jeszcze nie skończyły. Ponieważ miał bezpośredni kontakt z chorym zwierzęciem i mógł się zarazić -wścieklizną, dlatego musiał się poddać leczeniu. Otrzymał dużą serię bardzo bolesnych zastrzyków przeciw wściekliznie. Bardzo przy tym wszystkim cierpiał. Taką to Alojz otrzymał nauczkę. Człowiek prawie nigdy nie jest w stanie przechrzyć lisa.



Rysował - Bogdan Grzywa

36. Jak Marek jod fasolka po bretońsku

* * *

W latach osiemdziesiątych wielu pracowników kopalni „Bolesław Śmiały” wyjechało na stałe do Niemiec.

Kilku z nich zamieszkało na terenie Badenii Wirtembergii.

Tam się jakoś poodnajdywali i odwiedzają wzajemnie.

Przy takich spotkaniach dużo opowiada się o Łaziskach, kopalni i o wspólnych znajomych.

Pewnego dnia pani Basia zaprosiła gości. Byli z Polski, a konkretnie z Łazisk.

Było dużo wspomnień i żartów, a stół był bogato zastawiony.

Pani domu częstowała między innymi fasolką po bretońsku.

Niespodziewanie zjawił się syn pani Basi zamieszkały w tej samej miejscowości (były pracownik kopalni „Bolesław Śmiały”). Był trochę podchmielony.

Dosiadł się do towarzystwa, polewał gościom koniaku do kieliszków a i sam raczył się alkoholem. Fasolki jednak nie chciał jeść.

Pani Basia apelowała do syna Marka (bo tak się nazywał), by przestał pić, ponieważ musi iść do pracy na nocną zmianę.

- „Tu w Niemczech żoden ci znaczką w markowni nie ściepnie. Tak było yno na Bolesławie” mówiła.

Ale Marek nie słuchał.

Kiedy ten wyszedł na chwilę do toalety, pani Basia szybkim ruchem wzięła jego napełniony koniakiem kieliszek i wylała do odstawionego na bok naczynia z resztą fasolki po bretońsku.

Marek wróciwszy z toalety z niedowierzaniem spoglądał na swój pusty kieliszek.

Potem oświadczył, że już wygłodniał i chętnie by coś zjadł. Rozejrzał się wokoło, wziął naczynie z resztkami fasolki zaprawionej koniakiem i ze smakiem wszystko skonsumował.

Oblizywał się, bo fasolka mu wyjątkowo dobrze smakowała.

37. Kasia i Marta

* * *

Spirały się dwie czteroletnie kuzynki z Łazisk o to, której tata jest ważniejszy. Jedna nazywała się Kasia a druga Marta.

Kasia mówi do Marty:

- „He, a mój tata leciał samolotem do Londynu, a twój nie.”

Marta się zasmuciła, nie wiedząc jakiego by użyć kontrargumentu. Wreszcie mówi do Kasi tak:

- „He, a mój tata jechał w kopalni manszaftem, a twój jeszcze nigdy nim nie jechał. Twój tata leciał samolotem do Londynu tylko jeden raz, a mój tata manszaftem jeździ codziennie.”

Po dłuższej dyskusji dziewczynki uznały, że manszaft jest jednak ważniejszy od samolotu.

Nieobeznany m trzeba wyjaśnić, że manszaft to kopalniany podziemny pociąg osobowy.

38. Manicure

* * *

Pewien sztygar z „Upadowej Brada” opowiadał kiedyś w towarzystwie, że był świadkiem następującej scenki:

„Oto siedzą blisko siebie pracownik i pracownica. On trzyma w swojej dłoni jej dłoń i robi jej manicure za pomocą zakrzywionego noża do cięcia taśm transporterowych.

Ona syczy z bólu, a on ją uspokaja mówiąc:

„A dyć nie jęcz Agnieszko. Przeca dla urody i dla miłości trzeba znieść każdy ból.”



Rysował - Bogdan Grzywa

